



## GOSPODARSTWO

Powrót z wojny ◦ Świt nad Sanem ◦ Opisanie Dydni ◦ Piękna Białonóżka ◦ Nahajka w robocie ◦ W modrzewiowym dworku ◦ Grzechy ojca ◦ Hańba rodowa ◦ Nadciąga starosta trembowelski ◦ Braterskie pogawędki ◦ Exitus 17 ◦ Castrum doloris ◦ Pogrzeb pana stolnika ◦ Kruszenie kopii

*Die 5 julii, Anno Domini 1604*

*Dydnia, o świcie*

**D**o wsi zjechali z pierwszym brzaskiem, gdy nad dębowymi borami błysnął świt piękny jak oblicze panny młodej – jedyny w swoim rodzaju, słoneczny i ciepły. Poranek, który napełnia serce świeżością, może zdarzyć się jedynie w lipcu, w lecie. Taki świt można zobaczyć tylko w Polsce.

Pierwszy brzask w ziemi sanockiej zaczyna się spokojnie: najpierw niebo nad górami staje się błękitne. Potem z mroków wyłaniają się drzewa, a wcześniej splątana grzywa konia, który rześko i dumnie stąpa po trakcie i łące, wypoczęty po trudach poprzedniego dnia. Niemal czujesz, jak pręży smukłe pęciny,

stawia nogi raz za razem, niosąc jeźdźca przez opary. Ślad jego drobnych kopyt znaczy zielonymi kresami rosistą, pobielając od wilgoci trawę. Powietrze przepojone jest świeżą goryczą piołunu, miodem gryki i koniczyny. W dali na szczytach wzgórz błyszczą lasy niczym ściany warownego zamku. Za Temeszo-  
wem słychać wycie wilków.

Nadciąga dzień. Biała kurniawa schodzi ze wzgórz – płynie nad spienionym po deszczach Sanem. Przez opary przedzie-  
ra się wielka okrągła tarcza słońca sunąca nad wierzchołkami jodeł i modrzewi niczym okręt na spokojnym morzu. Jeszcze chwila i skowronki zaczynają swoje trele. Od nadrzecznych szu-  
warów odzywają się czaple, krzyczą derkacze, do lotu wzbija się wodne ptactwo z miękkim szumem i trzepotem.

Odzywa się dzwon w Dydni. Spiżowy głos bije na jutrznię, a jego echo kona wśród łąk i lasów. Wieś już nie śpi. Z daleka na pół mili niesie się szczekanie psów, słychać skrzyp żurawi studziennych, łoskot otwieranych okien, beczenie owiec, pomruki bydła. Poranny wietrzyk rozpędza mgłę, niesie ludzkie głosy daleko.

Dydyński wstrzymał konia, obejrzał się na pocztowych.

– Dwa lata z dala od domu. Nie do wiary, waszmościowie...

– Jak Odys – mruknął Nieborski. – Penelopa już by z żalu szezła, gdyby na waszmości czekała.

– Oby nas powitali dobrym obiadem – westchnął Świrski. – I piciem.

– Jedźmy!

Opary znad rzeki znikają jak senne mary w Zaduszki odpę-  
dzane kropidłem w rękę księdza. Minęli krzyż, skręcili w pra-  
wo, do rozłożystej doliny zwieńczonej poszarpaną linią lasów. Pociętej poprzecznymi łąkami, odchodzącymi w bok od dro-  
gi, podzielonymi na niwy porośnięte na przemian mokrym żytem, które gdzieniegdzie zaczynało się już pochyłać ku zie-  
mi, gruboziarnistymi kiściami pszenicy, poletkami owsa, jęcz-  
mienia i gryki. Na południu rysował się ciemnozieloną krechę las dębowy zwany Dąbkami, ustępując dalej miejsca borom

z buków, grabów, jaworów i olch. Na północy strzelały w niebo masztowe jodły i modrzewie, jedynie nieco niżej, na zapadliskach, utaiło się trochę podłych chrustów z sośniny i świerku.

– Pomału – zakomenderował Dydyński, bo droga, rozjeżdżona przez chłopskie wozy, pokryta była kamieniami i koczami.

– Ostrożnie zajeżdżaj!

– Przystawaaaj!

Wjechali między zagrody Dydni – długie, wąskie, zwrócone bokiem do traktu, pogrodzone chruścianymi płotami, ocienione wiązami, lipami i dębami, które wyrastały z korzenia, to jest bez wiedzy i starania gospodarza. Dymne chaty bielone były wapnem od podwaliny po strzechę, inaczej niż u Korołowców i Hyrniaków nad Osławą i Bieszczadem. Każda miała wnękę i małe podcienia, tak że z czarnej izby można było przejść na boisko suchą nogą. Z boku rosły sady pełne przysadzistych, splełanych grusz, śliw i jabłoni; na gałęziach pojawiały się pierwsze zielone owoce.

Ruch był we wsi, jakby się paliło. Przemknęli przez spienioną Dydniankę, płosząc stado kaczek i kilka starych bab okutanych w burki i fartuchy, tłukących płaskimi kijankami zmoczone wodą chusty i koszule. Zwolnili między chałupami, bo tłum przystrojony w czemery, hunie i siermięgi wyroił się spomiędzy chałup jak z mrowiska. Karbowy Smoliwąs prowadził gromadę dziewczuch i chłopów zbrojnych w kosy i grabie na dworskie łąki nad rzeczką. Był czas drugich sianokosów, trawy powyrastały wyżej końskich pęczin, soczyste, zielone, mokre od rosy. Widząc nadciągających panów, chłopci sięgnęli do słomianych kapeluszy, baranich kołpaków i magierek, ściągali je poczerniałymi rękoma. Starzy, czerstwi, poczerniali od słońca i dymu wieśniacy schylali się przed młodym panem dziedzicem aż do ziemi, młodzi ledwie odkłaniali czapki; dziewczki i chłopówny zerkały na Jacka zaciekawione, zalotne. A młody Dydyński nie omieszkał otakować najbliższych, widząc, że kilka powyrastało jak młode topole przy studni. Dobrze byłoby wziąć je do posług na dworze,

no i wiadomo – poobracać w łożnicy, nim za mąż pójdą. Każda przecież dziewczka chętna za posag i wiano, za suknie i przyodziewek; a z panem nie grzech, wszak jego prawo. Nie miał za wiele wspólnego z własnymi poddankami, stary pan ojciec nie pozwalał, straszyl różgą. Zmienia się wkrótce te zwyczaje, oj, zmienia... Czas rozweselić zacne służki, nim powychodzą za mąż, a po paru latach zwiędną jak stare chwasty, zgrubieją, wykoślawią się w biodrach od częstych porodów, póki nie przeminie ich dzika i nieposkromiona wiejska uroda. Nim zmienią się po trzydziestej wiosnie życia w stare jędze i ropuchy, inaczej niż jasne panny z dworów. Co było niezbitym dowodem, że tylko rodzaj szlachecki obdarzył Pan Bóg nieskończoną łaską.

– Na bok, na bok! Dajcie przejazd! – krzyczał Smoliwąs, wałac w harde karki i wygięte plecy trzonkiem od korbacza. Czując wzrok dziedzica, zgiął się kornie w pół, mnąc w rękach postrzępiony kołpak. Ponure to jednak było i złowieszcze bydlę. Choć – trzeba przyznać – umiał krótko trzymać chłopstwo, i to nie tylko komorników i zagrodników, ale także możnych kmieci. Ej, nawet dziewczki dworskie bijał. Popędzę go ze dwora za moich rządów, pomyślał pan Jacek.

Dzień wstawał nasycony błękitem zwiastującym upał, ale wśród słomianych strzech nie rozlegał się ryk bydła, bo o tej porze roku przez całe dni i noce pozostawało na pastwiskach. Nie słychać było chrząkania i kwiku szczeciniastych świń, które wypasano w okolicznych dąbrowach, jedynie na przyzbach chałup piału koguty.

– Dobra wieś, mospanie! – zagadał Świrski. – Warta grzechu i zacnych pieniędzy!

– Święta racja! – odrzekł stolnikowic. Za samą Dydnię wzmę w gotowiznie z piętnaście tysięcy, dodał w myślach. A za resztę, ile Bóg da, co tam komu przypadnie w udziale. Ale pewnie mi więcej, bom w końcu starszy z braci. Sprzedać to trzeba jak najszybciej, póki są urodzaje na zboże.

Dwór stał niemal taki sam, jakim zostawił go, wyjeżdżając na inflancką wojnę. Cichy, stary i poczerniały, niby dziad pana

stolnikowica siadający przy piecu w świetlicy z wnukami. Obwarowany okopem głębokim na trzy łokcie, szerokim na cztery, wzmocnionym wałem i częstokołem – wiekowym, lecz jeszcze nie spróchniałym. Od strony wioski była brama i zwodzony mostek z dwojgiem wrót nabijanych ćwiekami.

– Pomagaj Bóg! – zawołał Dydyński. – Oto wróciłem!

– Otwierajcie wrota! – zawtórował Świrski.

Zbudzony hajduk trzymający straż nad bramą wyrzał spoza parapetu, przecierając zaspane oczy. Patrzył, patrzył i nie dowierzał. A potem obrócił się, krzyknął coś w ciemną czeluść izby strażniczej. Minęła jedna chwila, druga, a kiedy Dydyński szarpnął za rękojęść puffera, aby wypalić nad częstokołem z pistoletu, znienacka nad bramą zamajaczyła wielka, okrągła jak dynia głowa obramowana wieńcem siwych, podgolonych włosów. Stolnikowic dojrzał czerstwe oblicze pełne zmarszczek, z wąsami, które nad wydatnymi wargami rozchodziły się na dwie grube kiście.

– Pan stolnikowic wrócił! – zagrzmiał tamten basem, od którego, zda się, zadrżała w posadach brama. – W samą porę, w sam czas! Otwierajcie wierzeje!

Kołowrót drgnął, na wpół uniesiony most opadł w dół, rozwarły się wrota i poczet pana Jacka wjechał na podwórze. Stanęli przed dworem, z gankiem i podsieniami wspartymi na solidnych słupach, zrobionych ciesielską robotą z jodłowych bali. Po obu stronach błyszcząły trzy weneckie okna, po bokach zaś rozpościerały się wielkie alkierze, każdy z miedzianą banią zwieńczoną powietrznikiem – grotem z gałką i strzałkami wyznaczającymi kierunek wiatrów.

Na prawo była długa chruściana stajnia, obok niej modrzewiowy lamus pełniący zarazem rolę obronnej wieży. Na jego piętro wiodły szerokie, zadaszne dębowe schody.

Pan Damazy Stocki czekał na nich przed gankiem, w towarzystwie starszego sługi i hajduków w krasnych barwach Dydyńskich. Był to ekonom ustanowiony przez Jacka przed odjazdem na wojnę w Inflantach, człek okrągły i wypasiony



jak brytan, którego na dwa dni zamknięto w spiżarni pełnej mięs. Klasnął w pulchne ręce, podkręcił wąsa i wybiegł na przeciw.

– Moja służba, panie stolnikowicu! – rzekł wylewnie. – Pomagaj Bóg!

– Służba, służba – odrzekł Dydyński, a potem zeskoczył z konia i zanim wpadł w ramiona swego sługi, ucałował ziemię na dziedzińcu i przeżegnał się.

A potem czekały go wylewne uściski pana Damazego, przyjmowanie uniżonych ukłonów hajduków i ochmistrza ze dworu.

– Dobrze, że wasza miłość wrócił – zajączał Stocki i porwał się za łeb, jakby chciał wyrwać z niego resztki siwych włosów. – Dziada tu tylko z babą brak, a największy szelma i złodziej to Tobołka, który na dziedzictwo waszej mości zawzięty jest jakoby kot na szperkę! Już mi sił nie starcza bronić przed nim skrzyń i dobytku!

Tobołka był drugim ekonomem na folwarku. Wyjeżdżając bowiem na wojnę, nie mogli się z bratem zgodzić, kto zarządzał będzie Dydnią i innymi wioskami w imieniu ich chorego ojca. I tak zamiast jednego powołali dwóch ekonomów. Dydyński wybrał starego Stockiego, jego brat Przeclaw zaś – młodszego, ale bezwzględnego Tobołkę. Nie było niczym niezwykłym, że po odjeździe braci obaj ekonomowie żyli tu jak pies z kotem, pilnie bacząc sobie na ręce i wrywając dostatki, skrzynie i procenty; wszak każdy z nich wiernie trzymał stronę swego pana.

– Brat jest? – zapytał bez ogródek Dydyński.

– Niestety – pokiwał głową Stocki. – Wczoraj przyjechał. Z metresą – dorzucił jadowicie – z tą Skotnicką, co ją był kupił za kwartę gorzałki i dziesięć złotych od Chyliczka – kuśnierza, łupikota z Krakowa. Z małym bękartem przybył, a jakże. I z jeszcze większą złością! Już mi tu niejedną raz kłodą groził i dybami, chociaż ja szlachcic! A teraz, mospanie, jego rękodajny rządzi się tutaj jak władca! Patrz! Właśnie mienie twoje rabuje, niewdzięczny szarpacz, złodziejski wydzierka, psi syn pohański, bodaj go diabli rozdarli!

W rzeczy samej, ze stajni wychodził właśnie we własnej osobie – chudy jak pogrzebacz – Tobołka, ciągnąc za sobą opierającą się siwą natolijską klaczkę Białonózkę, najcenniejszą perłkę ze stajni ojca Jacka. Konik był z niej nieco mniejszy od husarskich wierzchowców, lecz tak subtelny jak śmigła charcica z wygiętą, łabędzią szyją, niedużym łebkiem i czarnymi, wiecznie wystraszonymi oczyma – niczym u nieśmiałej dziewczicy, co pierwszy raz spogląda w oczy pięknemu księżęciu.

Tego było o wiele za dużo. Raz, że Tobołka rządził się w Dydni jak w udzielnym księstwie. Dwa, że wyprowadzał właśnie najpiękniejszą klaczkę z dworskiej stajni.

Dydyński porwał za nahaj i szybkim krokiem podszedł do ekonomy.

Tobołka stropił się, widząc bojowy nastrój pana. Uchylił niemrawo czapki, dygnął sztywno. Lecz nie wypuścił z ręki uzdy.

– Dokąd to, panie Tobołka? Co chcesz zrobić z moim koniem?

– Za posfoleciem wasmosci. – Od kiedy w zwadzie wybito mu czekaniem przednie zęby, ekonom sepleniał jak zasmarkany bachor, co nie robiło złego wrażenia, bo i tak reszta jego manier była godna podpitego Mazura. – Pan Pseclaw kasał sabrać tę kureską kobyłę do Wydnej.

– Nie tylko ją! – zagrzemiał z tyłu pan Damazy. – Wzięli, psie syny, sobaki krwio pijcze, dwa woźniki od kolasy i podjezdka wołoskiego do dworu młodego pana Przeclawa!

– Czy mi się tylko zdaje, panie Tobołka, że stary pan stolnik jeszcze dycha? Czyje tu rządy – Przeclawa czy pana ojca? A może mego rodzica też cichcem wyprowadziliście? Nogami do przodu, na cmentarz?

Tobołka nic nie odrzekł, ale nie wypuścił cugli z ręki.

– Poniechaj tego konia, dobrze ci radzę!

Ekonom pociągnął za sobą opierającą się Białonózkę.

– Słyszałeś, co do ciebie mówiłem?! Zostaw!

– Pan Pseclaw kasał – wystękał Tobołka. – So pan kase, sługa musi...



– Puszczaj! – Damazy porwał za wodze i chciał wyrwać je z rąk Przeclawowego ekonomy. – Do dytka jasnego! Oddawaj, szelmo!

Szarpnął za rzemienie, ale nie wyrwał ich z rąk wroga. Tobołka rozejrzał się jak zaszczute zwierzę, a potem krzyknął z rozpaczą:

– Do mnie! Bywaj!

Na majdanie nie było chyba nikogo z czeladzi Przeclawa, bo obaj hajdacy, którzy witali Dydyńskiego, nie kwapili się, by pomóc znieawidzonemu ekonomowi. Wściekły i zapędzony w kozi róg Tobołka szarpał się z Damazym. Pojmując, że prędzej ruszy z posad Bieszczad, niż wyrwie cugle z rąk Stockiego, pchnął go oburącz w pierś, aż opasły ekonom zatoczył się i mało nie padł.

A wtedy Jacek Dydyński smagnął Tobołkę z całych sił nahajem w łeb, pozostawiając na gębie szeroką czerwonawą bliznę, zawinął raz jeszcze, poprawił sarnią nóżką na rękojeści biczu.

Tobołka zaryczał, zawył jak ranny tur, zasłonił rozciętą, krwawiącą gębę rękawem, skoczył na stolnikowica, nie bacząc, że to szlachcic i de nomine<sup>18</sup> jego pan; chciał zaprawić go bykiem w żołądek, ale Dydyński uskoczył w bok, chlasnął ekonomą po plecach, a Damazy z zadziwiającą, jak na człeka takiej postury, szybkością kopnął zapiekłego wroga w kolano, aż ten się potknął. A kiedy nahaj Dydyńskiego zawinął się wokół jego ramienia, padł w zryty końskimi kopytami piach.

– Zarąbcie skurwego syna! – wrzasnął stolnikowic. – Bij, kto w Boga wierzy!

Damazemu nie trzeba było tego powtarzać. Pan dał przykład, zresztą płacił sowite basarunki za wszelakie ekscesy czeladzi, więc kiedy Jacek chlastał bez litości plecy nieszczęśnika, kopnął Tobołkę w łeb i doprawił w lewy bok.

– Jessuuuu! – zajęczał pobity, smagany nahajem nieszczęśnik. Bicz przeciął sukno jego żupana i koszulę, rozciął skórę

---

18 łac. – z imienia, pozornie, tytułarnie, nominalnie

na plecach, zaznaczał krwawe wybroczyny na ramionach. Ekonom chciał odpełznąć, ale Dydyński stanął butem na pole sukni i siekł, zapamiętał się, za Białonóżkę, za panoszenie się na folwarku, za chorobę ojca i za gniew brata! I za całą beczkę żółci, która z powodu waśni o majątek gniołła jego młodą, a już tęgo zaprawioną w pijackich bojach wątrobę niby katowskie cęgi.

Tobołka już nie krzyczał, nie próbował uciekać. Leżał we krwi dygoczący, a z jego przegryzionych warg dobywał się cichy jęk, zagłuszany zresztą przez świst skórzanego nahaja.

Wystrzał z pistoletu zabrzmiał jak trzask padającego dębu. Spłoszona Białonóżka rzuciła się w bok, a kwaśna woń spalonej saletry uderzyła w nozdrza razem z gorącym i prochowym dymem. Na ganku stał Przeclaw z dymiącym pistoletem. Patrzyli na siebie: dwaj bracia. Jacek nieco wyższy, ciemnowłosy, starszy o cztery lata; Przeclaw jeszcze gołowąs, choć już nie młodzieniaszek. Zaledwie puch nosił pod wydatnym nosem, ale oblicze miał tak zuchwałe jak ktoś, kto gotów jest w biały dzień osmalić brodę sułtana tureckiego albo pójść w las, aby gołymi rękoma wybierać młode z legowiska wścieklej niedźwiedzicy.

Byli z jednego ojca, lecz z dwóch różnych matek, a co za tym idzie innej fantazji i charakterów. Jacek narodził się z pierwszej żony Aleksandra Dydyńskiego – Anny Bełzeckiej, a Przeclaw z drugiej – Eufrozyny Pamiętowskiej, primo voto Bolestraszyckiej, secundo – Dydyńskiej. Może dlatego, choć byli uczynieni z tej samej gliny, to jednak ich postęпки bywały tak różne jak dwie strony medalu. Żaden nigdy nie ustąpił drugiemu choćby na piędź, a gdyby mieli chadzać w jednym zaprzęgu jak konie, nie zrobiliby ani kroku do przodu, bo każdy podążyłby zawsze w przeciwną stronę – choćby tylko po to, aby zrobić na złość bratu.

Z tych wszystkich względów, a przede wszystkim z powodu jęczącego na piasku i dającego słabe oznaki życia Tobołki, na obliczu Przeclawa nie było widać wielkiej radości z przybycia Jacka. Przeciwnie – wyczytać można było na nim bez trudu jakże ludzką złość. Wszyscy we dworze wiedzieli, że młodszy

Dydyński uważał się wiecznie za pokrzywdzonego. W odpowiedzi zaś starszy zazdrościł młodszemu faworów u rodzica.

– Wreszcie zjechałeś do domu, brat – wycedził przez zaciśnięte zęby Przeclaw. – Ojciec jeszcze dycha, a ty już burdy i jazdy wszczynasz. Sługi me znieważasz, na honor i cześć godzisz!

– Nie ja jak beskidnik konie rabuję ani sobie cudze przywłaszczam!

– Skąd wiesz, że to twój koń? – warknął Przeclaw, idąc z dobytą szablą w stronę brata. – To jest rodzinne gniazdo, które wedle obyczaju zawsze najmłodszemu przypada! Razem z całym dobytkiem i poddanymi!

– Widziałeś już testament, braciszku? Bo jak ci pilno do czytania, to mogę jego treść tobie szabelką na łbie, a sługom nahajem na plecach wypisać!

– Już wypisałeś – Przeclaw wskazał piórem szabli na wpół żywego Tobołkę – gotowy wyrok na siebie. Zapłacisz za to, brat! Zapłacisz tu i teraz!

Jacek dobył ze świstem lekko zakrzywionej węgierskiej szabli oprawionej w czarną rękojeść z szerokim kabłąkiem. Stanęli nad zakrwawionym ciałem sługi niczym dwa rozwścieczone odyńce. Hajducy Przeclawa skupili się za plecami pana, pocztowi i ekonom Stocki stanęli ramię w ramię za starszym Dydyńskim.

Ktoś krzyknął; dworska dziewczka niosąca dwa wiadra od studni rzuciła jarzmo i z piskiem pognęła na ganek. Jakiś koń zarżał głośno w stajni, inny rzucił się niespokojnie, uderzył kopytami o ścianę.

Zapadła cisza tak absolutna, że można było usłyszeć brzęczenie much smalących do siebie koperczaki nad kupami końskiego nawozu.

– Pax(19), pax, chrześcijanie! – zabrzmiał jakiś głos. Między żupanami i deliami pochylonych, gotowych do zwady braci i ich czeladników zamigotał brunatny franciszkański habit przewią-

zany grubym sznurem. Zakonnik wpadł między zbrojnych, nie bacząc na nagie ostrza i pistolety z opuszczonymi kurkami, zamachał prostym drewnianym krzyżem. – Co robicie, szaleńcy! Rzućcie broń! Módlcie się za duszę rodzica!

Jacek wyprostował się, Przeclaw opuścił szablę. Ojciec Mikołaj z Miechowa, zwany w klasztorze franciszkanów Miechowitą, od lat powiernik i spowiednik Aleksandra Dydyńskiego, stał między nimi z gołą głową i uniesionym krzyżem. W jego oczach nie było gniewu, ale cierpienie, jakby uczynki braci sprawiały większy ból niż rzymskie bretnale przybijające do krzyża ciało Jezusa Chrystusa.

– Wasz ojciec – rzekł donośnym, dźwięcznym głosem, który sprawiał, że prosty lud szlochał i klękał na mszy w kościele Znalezienia Krzyża Świętego w Sanoku wcale nie z nakazu wiary, ale z żaru serca – jeszcze żyje, jeszcze nie dobył z siebie ducha. A wy? Co czynicie, bezbożni ludzie, wyrodni synowie? Ad instar Tartarorum <20> szczerzycie do siebie zęby niby wilcy luterscy na Przenajświętszą Panienkę! Krew chcecie przelewać przy jego łożu boleści?

Uderzył Przeclawa krzyżem po rękę, a szlachcic – bardziej z wrażenia niż z bólu – wypuścił z rąk szablę. Jacek schował żelazo od razu, cofnął się przed gniewem zakonnika i przeżegnał. Ale Miechowicie to nie wystarczyło.

– Do wszystkich grzechów, które czyniliście – rzekł – dodać chcieliście zmiar bratobójstwa! Wiedźcie zatem, że nie zostanie on wam odpuszczony przy niedzielnej spowiedzi, a pokutę czynić będziecie przez długie lata.

Zamilkł i przez chwilę dyszał.

– Ojciec wzywa was, bo chce ostatni raz nacieszyć oczy widokiem dzieci. A ja chciałbym przyprowadzić mu godnych następców rodu, a nie bratobójców!

Schylił się, przyłożył dłoń do zakrwawionego łba Tobołki, podniósł jego lewe ramię, zarzucił je sobie na kark, a potem,

stęknąwszy, dźwignął bezwładne, skatowane ciało z ziemi. I wtedy jakby piorun uderzył w braci i ich ludzi. Pocztowi i hajducy skoczyli franciszkaninowi na pomoc, razem podźwignęli bezwładne ciało, ponieśli do dworu, do czeladnej. Przeclaw nie schylił się po szablę, a Jacek wyszarpnął przewieszoną przez pas końcówkę rapci, odpiął hak, zdjął broń razem z pasem i oddał w ręce pana Damazego.

– Idźcie do alkierza – powtórzył słabym głosem zakonnik. – Ojciec chce was widzieć.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki